

Marek Sztarbowski: * LISTY * (Ela Binswanger: Wstęp)

Wydaje się, że koniec poezji przepowiadano od zawsze. Gdy tylko z glinianych tabliczek i rysików przerzucono się na papirus i pędzelek, wyglądało na to, że to koniec, bo komuż by się chciało na tak kruchym nośniku pisać tak wzniosłe dzieła? A już gdy zaczęto skrzypieć gęsimi piórami po papierze, sprawa wydawała się przesądzona, nie można tak kruchym narzędziem na tak łatwopalnym podłożu tworzyć tak boskich utworów.

Ostatecznie dało się, ale tymczasem poeci, jak to oni, poszli do przodu, i zaczęli gromadzić się stadami po kawiarniach literackich, a tam na oczach zdumionych gości, zachwyconych kelnerek i zawieszających kolegów, pisać na serwetkach kawiarnianych. Tak nastąpił renesans poetów, ulubieńców ludu! Każdy mógł przechwycić taką serwetkę i po latach sprzedać oryginał wiersza, dajmy na to Tuwima, za ciężkie pieniądze. To nie mogło się nie podobać.

Niestety położyła temu kres wojna a po wojnie wszystko było inaczej niż przed. Przede wszystkim wynalezione już dawniej maszyny, w tym maszynę do pisania zaczęto masowo produkować, i trudno z nią było włączyć się po kawiarniach w towarzystwie innych poetów z ich maszynami pod pachami i liczyć na miejsce przy stoliku, literackie życie kawiarniane upadło, poeci przywiązali się do własnych biurków i maszyn i znów tworzyli w odosobnieniu z dala od czytelników.

Aż nastały czasy nowe - zawsze w każdym życiorysie nieuchronnie następuje zderzenie czasów starych z czasami nowymi, tak to już jest, stare dobre czasy odchodzą bezpowrotnie w przeszłość, nowe, niepewne, a w związku z tym przerażające, otwierają nieznaną przyszłość. I tak oto nastał nam Internet. Wszyscy od razu orzekli, że to już definitywny koniec poezji, bo teraz pisać i natychmiast publikować może każdy, a poeta to jednak wybrank bogów, wszyscy, z natury rzeczy, nie mogą być wybrankami.

A i publikacje w "starych dobrych czasach" to była droga przez mękę, gdy teraz klik, klik i leci dookoła globu. Takim poetą, poetą czasów Internetu, stał się Marek Sztarbowski, a że zaczął późno (rocznik 1958), bo długo mu przyszło czekać na odpowiadające jego temperamentowi medium, od razu ruszył z kopyta. Zapisał się na pierwszą poetycką grupę dyskusyjną w języku polskim, pl.hum.poezja, w skrócie php, powstała w roku 1998 i myk, myk, nauczył się w mig klasycznych form wierszy, by natychmiast je porozciągać w dowolnych kierunkach, jako że przestrzeń wirtualna jest dowolnie rozciągliwa i wiele pomieści.

I oto od ponad dwóch dekad nieprzerwanie tworzy wiersze i teksty poetyckie prozą publikując je w sieci, a żeby zostawić po sobie coś względnie trwałego, wydaje też od czasu do czasu tomiki wierszy na papierze opatrzone jak się patrzy poważnymi numerami ISBN. Papier to jednak materia, nawet jeśli się pali, w przeciwieństwie do zapisu elektronicznego, który po prostu znika i nawet dymu po nim nie zostaje.

W tej niepewnej przyszłości, w jakiej przyszło nam żyć, mamy więc sytuację następującą: następuje szybki regres słowa pisanego (niektórzy nawet alarmują, że to wtórny analfabetyzm, choć nie przesadzałabym, jednak SMS-y

trzeba umieć wystukać), a zarazem głód słowa wrytego czarno na białym w tradycyjnych książkach. Z okładkami, wstępami, spisem treści, treścią i cenami.

Więc jeśli taki poeta jak Marek Sztarbowski decyduje się na papierowe wydanie swoich tekstów, dodajmy, że niezwykłych tekstów, to jest to prawdziwe święto, a i inwestycja w niepewną przyszłość pewna. Papier się wprawdzie pali, ale jeśli nakład jest wystarczająco wysoki, wszystek, jest nadzieja, nie spłonie. Jest szansa, że dotrze do przyszłych pokoleń. Ponoć Internet też ma być z nami na zawsze, ale - że przypomnę - przyszłość jest niepewna, a nośnik "sieć", dziurawy.

A co jest niezwykłego w tekstach Marka Sztarbowskiego? Chciałoby się powiedzieć, wszystko, i zamknąć temat, ale warto też wyszczególnić. Oto język, w ustach zwykłych ludzi zwyczajny, tu zaczyna mienić się jak żywy kameleon, absurdy, paradoksy, oksymorony, metafory, gry i zabawy słowne, język wysoki, bardzo wysoki, i język niski, bardzo niski, a nawet wprost z ulicy, żeby nie powiedzieć, z kanału, mieszają się tworząc zupełnie nowe, niespotykane dotąd skojarzenia, by objawić całkiem nowe, nieznane dotąd prawdy. Jeśli podprowadzić zmarłemu niedawno Jerzemu Pilchowi jego bodaj najsłynniejszą frazę, powiedzieć, że nikt tak nie pisze, to nic nie powiedzieć.

Oryginalnie, a zarazem przykuwająco. Nowatorsko, a zarazem klasycznie. Przechabawnie, a zarazem poważnie. Trywialnie, a zarazem filozoficznie. Lirycznie, a zarazem prosto. Erotycznie, a zarazem nie pornograficznie. Nawet "wszystko" nie zamyka tematu, bo Marek Sztarbowski, jak się domyślam, z pewnością nieraz sam siebie zaskoczył tym, co i jak mu się pisze. Choćby jeden z głównych bohaterów "Listów", niejaki Geniulek Kolanko. Urodził się od razu gotowy, wyskoczył Autorowi z głowy, jak, nie przymierzając, Atena z rozplątanej na tę chwilę głowy Zeusa, i oto jest.

Geniulek jest oczywiście genialny, jego imię nie jest ani trochę przypadkowe, wręcz przeciwnie, innego nie mógłby nosić. Nazwisko Kolanko kojarzy się nieco ze słynnym swojego czasu korespondentem telewizyjnym (prywatnie równie słynnym - przez jakiś czas przynajmniej - kochankiem), choć może nie jest to skojarzenie nieuchronne, "a" i "o" robią różnicę. Tak czy tak Geniulek też wie i mówi JAK JEST. Zresztą przyjrzyjmy mu się przez chwilę, zanim podążymy na kolejnych kartkach w kolejnych opowieściach jego i tylko jego ścieżkami:

Geniulek zamyślił się między jednym niemyśleniem a drugim, by lakonicznie wypowiedzieć jedno ze swoich ulubionych odtąd zauważań, które są jak psy aportujące przynoszące ustrzelone kaczki sensu do nogi

- parapitek to jednak nie para pitek!

Tak, tak, Geniulek jest genialny, a jego (S)twórca i pilny kronikarz jego przygód intelektualnych jest tylko skromnym skrybą - warto na ten użytek wykopać to archeologiczne słowo - spisującym co widzi i wie dla potomnych i rozsyła w formie "listów" po wsze czasy na wsze strony. Wierszem, prozą, prozą z poezją i talentem. Nie powiem, genialnym talentem, bo mnie nasz skromny skryba zabije.

Elżbieta Binswanger-Stefańska, Narama, 31 sierpnia 2020